

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Edgar Allan Poe

Opowieści niesamo- wite

Przekład

Bolesław Leśmian i Stanisław Wyrzykowski

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

William Wilson

Cóż powie – on? Co powie głos sumienia –
Ta zmora zmór, co za mną kroczy w ślad?

Chamberlayne: „Pharronida”.

Niechże mi wolno będzie do czasu nazywać się Wiliamem Wilsonem. Rzeczywiste moje nazwisko nie powinno pokalać leżącej oto przede mną, nie tkniętej jeszcze karty. Nazwisko owo aż nazbyt często było przedmiotem wzdryki i lęku – źródłem wstrętu dla mojej rodziny. Czyliż wzburzone wichry nie otrąbiły bezprzykładnej hańby tego nazwiska aż po najdalsze krańce kuli ziemskiej? O, najsamotniejszy ze wszystkich wygnańców! Czyliż nie umarłeś na zawsze dla świata – dla jego zaszczytów, dla kwiatów, dla złojących się urojeń? I czyliż chmura gęsta, ponura i bezkresna nie zawisła na wieki pomiędzy twoją nadzieją a niebem? Gdybym mógł nawet, nie chciałbym zawrzeć dzisiaj w tych kartach wspomnienia ostatnich lat trudnej do opisanie nędzy ducha i nieprzebaczalnej zbrodni. Ta ostatnia epoka mego życia spiętrzyła aż po kres ostateczny ilość hańbiących mię występków i pragnę jedynie określić źródło ich pochodzenia. Jest to na razie mój zamiar wyłączny. Ludzie zazwyczaj nikczemnieją stopniowo. Co do mojej osoby – wszystka cnota w okamgnieniu, znienacka opadła ze mnie jako płaszcz. Od tuzinkowej mniej więcej rozpusty siedmiomilowym krokiem przerzuciłem się w świat zmór bardziej niż heliogabalowych. Pozwolę sobie w całej rozciągłości opowiedzieć, jaki traf, jaki jedyny w swym rodzaju mus pchnął mnie ku owym upadkom. Zbliża się śmierć i cień, który ją poprzedza, nakazem uciszeń dosięgnął mego serca. W moim pochodzie poprzez dolinę mroków pożądam współczucia – chciałbym rzecz – miłosierdzia mych bliźnich. Pragnąłbym ich przekonać, że byłem poniekąd niewolnikiem okoliczności, które się wymykają wszelkim dozorom ludzkim. Życzyłbym, aby w szczegółach, które im podam, wykryli na moją korzyść pewną maluczką oazę przeznaczenia wśród Sahary zgróz. Chciałbym, aby uznali, że chociaż ten padół słynie z wielkich pokus, nikt dotąd nigdy nie był kuszony w ten sposób i bez wątpienia nigdy w ten sposób nie uległ. Czyż nie dlatego, iż nikt nigdy nie doznał tych samych cierpień? Zaprawdę – czyliż nie żyłem we śnie? Czyliż oto nie ginę, jako ofiara zgrozy i tajemnicy najdziwniejszej ze wszystkich zmór podksiężycowych? Jestem potomkiem rasy, którą zawsze wyróżniał temperament zdolny do przywidzeń i łatwo zapalny, i pierwsze lata mego dzieciństwa są już dowodem, że całkowicie odziedziczyłem cechy mego rodu.

Z biegiem czasu cechy owe zarysowały się dosadniej i z wielu powodów stały się dla mych przyjaciół przedmiotem poważnych niepokojów, a dla mnie – źródłem istotnych krzywd. Stałem się – samowolny, pochopny do najdziwniejszych wybryków. Oddałem się na pastwę najbardziej nieposkromionym namiętnościom. Rodzice moi – ludzie słabego charakteru, dotknięci na domiar udęką przyrodzonych i organicznych niedoborów, niewiele mogli przedsięwziąć dla przytłumienia złych skłonności, które zdradzałem. Nie zaniedbali ze swej strony kilku słabych i nietrafnych wysiłków, które się zgół rozmięły z zamiarem i zakończyły całkowicie moim tryumfem. Odtąd słowo moje stało się w domu – rozkazem, i w wieku, gdy dzieci jeno wyjątkowo pozbywają się

swych wędzideł, przyznano mi wolną wolę i stałem się panem mych wszystkich, z wyłączeniem imienia – czynności.

Pierwsze moje z życia szkolnego wrażenia wiążą się z obszernym a dziwnym budynkiem w stylu Elżbiety, w głuchym zakątku Anglii, strojnym w niezliczoną olbrzymich, sękowatych drzew, a którego wszystkie domostwa były wyjątkowo zamierchłe. I, doprawdy, owo czcigodne a starożytne miasteczko było podobizną marzeń i miejscem oczarowań ducha. I nawet w tej chwili udziela się mej wyobraźni ożywczy dreszcz jego do głębi cienistych alei, i oddech mój napęla się powiewem jego tysięcznych gajów, i dotąd jeszcze z niewytłumaczoną rozkoszą drzę na wspomnienie piersiowych a głuchych brzmień dzwonu, który co godzina swym nagłym a gderliwym porykiem rozszarpał ciszę mglistej atmosfery, kędy grażyła się drzemotą zdjęta dzwonnica gotycka, cała zębami ozdobna.

Zaiste wszystkich zasób dostępnego obecnie mym doznaniom szczęścia czerpię ze szczegółowych wspomnień życia szkolnego i właściwych mu mrzonek. Zatraconemu, jakom jest, w klęsce – w klęsce – niestety! – aż nazbyt rzeczywistej – wybaczą chyba, że szukam wielce kruchej i wielce przelotnej pociechy w tych dziecięcych i luźnych wspominkach. A chociaż zgoła pospolite i błahe same przez się, nabierają skądinąd w mej wyobraźni doniosłości przygodnej dzięki swemu ścisłemu związkowi z miejscem i epoką, w których z dzisiejszego oddalenia postrzegam pierwsze, niejasne przestrogi losu, co od owego czasu w tak głębokie spowinał mię cień. Nie wzbraniajcież mi wspomnień!

Domostwo, jak rzekłem, stare było i bezładne. Podwórzec był obszerny, okolony wysokim a krzepkim murem z cegieł, zakończonym polepą z gliny i tłuczonego szkła. Ten szaniec, godny więzienia, znaczył granicę naszego państwa. Oczy nasze przedostawały się poza nią jeno trzy razy na tydzień – raz jeden co sobota, po południu, gdy w towarzystwie dwóch dozorców szkolnych wolno nam było odbywać społem krótkie spacerunki do wsi sąsiedniej, i dwa razy – co niedziela – kiedy, uszykowani jak żołnierze na popis, szliśmy do jedynej w miasteczku kościoła, aby wysłuchać porannego i wieczornego nabożeństwa. Rektorem naszej szkoły był pastor owego kościoła. Z jakim głębokim uczuciem podziwu i oszołomienia z naszej ku chórom oddalanej ławy przyglądałem mu się, gdy „wstępował na ambonę krokiem uroczystym a powolnym! Ta postać czcigodna, obdarzona obliczem tak łagodnym i dobrotliwym, przyodziana w szatę tak obficie połyskliwą i tak po kapłańsku rozwiewną – przybrana w perukę tak starannie upudrowaną, a tak wysztywnioną i sutą – czyż mogła być tym samym człkiem, który przed chwilą, z twarzą surową i w odzieży zatabaczonej, z dyscypliną w ręku, czuwał nad wykonaniem drakońskiej ustawy szkolnej? O, wybuchały to paradoks, którego potworność wyklucza wszelką odpowiedź na pytanie! W kącie masywnego muru tkwiły, jak na pokucie, jeszcze masywniejsze drzwi, szczelnie zamknięte, upstrzone zasuwami i zakończone u góry rozkrzewieniem się zębatego żelastwa.

Jakież głębokie uczucie strachu szerzyły owe drzwi! Rozwierały się jeno dla trzech periodycznych wycieczek i powrotów, o których już mówiłem – wówczas w każdym zgrzycie ich potężnych zawias, odsłaniał się nam nadmiar tajemnic – cały świat uroczystych postrzeżeń lub jeszcze uroczystszych rozmyślań.

Obszerna zagroda miała kształt nieprawidłowy i podział na kilka części, z których trzy czy cztery – największe – stanowiły miejsce dla zabaw. Miejsce owo było wyrównane i powleczone drobnym i ostrym szczyrkiem. Pamiętam dobrze, iż nie posiadało ani drzew, ani ławek, ani w ogóle nic w tym rodzaju. Ma się rozumieć, iż znajdowało się w tyle budynku. Od przodu widniał niewielki kwietnik, wysadzany bukszpanem i innymi krzewami, lecz ową świętą oazę wolno nam było przekraczać jeno w rzadkich wielce wypadkach, jak pierwszy wstęp do szkoły lub odjazd ostateczny, lub też, być może, w chwilach, gdy ktoś z przyjaciół lub krewnych kazał nas zawołać i wesoło ruszaliśmy w drogę do rodzinnych pieleszy na Boże Narodzenie lub na św. Jana.

Lecz dom! Co za osobliwą a starą budowlą był ów dom! Zaś dla mnie był istnym pałacem zaklętym! Końca nie było jego korytarzowym zakrętom i niezrozumiałym podziałom. Trudno było w tej lub innej, na chybił trafił wybranej chwili stwierdzić z całą pewnością, czy się jest na pierw-

szym, czy na drugim piętrze. Miało się za to pewność, iż w przejściu z jednego pokoju do drugiego stopa napotka trzy lub cztery stopnie w górę lub w dół. Prócz tego niezliczone i niedostępne pojęciu były boczne podziały, które tak się wsnuwały i wysnuwały ze siebie, iż najdokładniejsze ogarnięcie myślą całości gmachu niewiele się różniło od owej mrzonki, za której pomocą oglądamy nieskończoność. W ciągu lat pięciu mego pobytu nigdy nie potrafiłem dokładnie określić tej odległej okolicy gmachu, w której znajdowała się ciasna sypialnia, przeznaczona dla mnie i dla innych osiemnastu lub dwudziestu żaków.

Klasa była najobszerniejszą komnatą w całym domu, a nawet w całym świecie, w każdym razie nie mogłem się oprzeć takiemu na nią pogładowi. Bardzo długa, bardzo wąska i ponuro niska, z dwułukowymi oknami i z dębowym pułapem. W odległym kącie, który ział postrachem, tkwiła zagroda, mająca osiem do dziewięciu stóp kwadratowych, a stanowiąca w godzinach wykładów sanctum naszego zwierzchnika, przewielebnego doktora Bransby'ego. Była to krzepka budowa, z masywnymi drzwiami. Niżli je rozewrzeć w nieobecności Dominie, wszyscy byśmy raczej wybrali zgon od różgi i rzemienia. W dwu innych kątach wznosiły się dwie podobne zagrody – przedmioty o wiele, co prawda, mniejszej czci, ale w każdym razie źródła dość znacznego postrachu, jedna z nich była katedrą mistrza humaniorów, druga zaś – profesora języka angielskiego i matematyki. Rozsiane tam i sam po sali bezliki ław i pulpitów, straszliwie objuczone książkami z plamistym odwzorem palców, krzyżowały się w nieskończonym bezładzie – szerniałe, zgrzybiałe, zjedzone czasem i tak gruntownie pozłobione w kształty inicjałów, całkowitych imion, postaci groteskowych i innych licznych arcydzieł scyzoryka, że zgoła zatraciły i tę bylejaką formę, której im udzielono w czasach wielce zamierzchłych. Na jednym krańcu sali tkwił olbrzymi ceber wody, a na drugim – zegar niewiarogodnych rozmiarów.

Zamknięty w masywnych marach tej czcigodnej szkoły, spędziłem wszakże bez nudy i bez niesmaku trzecie pięciolecie mego żywota.

Płodny umysł dziecięcy nie wymaga od świata zewnętrznego pobudek dla swej pracy lub zabawy, i ponura na pozór jednostajność szkolnego istnienia obfitowała w podniety płomienniejsze aniżeli owe, których dojrzalsza moja młodość szukała w uciechach zmysłowych, a wiek męski – w zbrodni. Wszakże muszę wyznać, iż pierwszy mój rozwój umysłowy był pod wieloma względami niezbyt pospolity, a nawet ponad poziom wybiegający. Wypadki lat dziecinnych najczęściej nie pozostawiają w duszach ludzi dojrzałych zbyt wyraźnych śladów. Nic, jeno – cień mglisty, wątle a bezładne wspomnienie, mętna gmatwanina kruchego wesela i urojonych trosk. Inaczej rzecz miała się ze mną. Zapewne z dzielnością dojrzałego mężczyzny wyczuwałem w dzieciństwie to, co i dziś jeszcze ryje się w mej pamięci w konturach tak żywych, głębokich i trwałych, jak rysunki medali kartagińskich. A tymczasem – w rzeczy samej – z utartego punktu widzenia – jakże tam mało było treści dla wspomnień!

Ład porannych ocknień, nakaz udania się na spoczynek nocny, nauka lekcji, wygłaszanie ich z pamięci, periodyczne półurlupy i spacer, podwórzec dla zabaw wraz z jego kłótniami, wywczasami i intrygami – wszystko to, zniknione w magicznym śnie ducha, zawierało w sobie cały nadmiar wrażeń, przepych wypadków, nieskończoność najrozmaitszych wzruszeń i najbardziej płomiennych i upojnych podnięt. Hej! nie z gorzej się żyło w onym wieku żelaznym! W istocie – dzięki płomiennej, entuzjastycznej, władczej naturze – wyróżniłem się wkrótce spomiędzy reszty mych towarzyszków i z wolna a zgoła nieznacznie pozyskałem przewagę nad wszystkimi, którzy mię wiekiem nie prześcigali – nad wszystkimi, z wyjątkiem jednego.

Był to żak, wcale ze mną nie spokrewniony, nosił to samo imię i to samo nazwisko – okoliczność małej sama przez się wagi, gdyż, mimo dostojnego pochodzenia, nosiłem jedno z tych licznych nazwisk, które snadź od czasów niepamiętnych – prawem przedawnienia – stały się ogólną własnością motłochu. W niniejszym przeto opowiadaniu nadałem sobie przezwisko Williama Wilsona – przezwisko zmyślane, które niezbyt od rzeczywistego odbiega. Wśród tych, co, mówiąc szkolnym językiem, stanowili naszą bandę, jeden tylko mój imiennik miał odwagę współzawodnictwa ze mną w wiedzy szkolnej, w grach i dysputach podczas wolnych od nauki godzin –

oraz odmawiania ślepej wiary moim twierdzeniom i bezwzględnego poddania się mej woli – słowem – przeczenia mej dyktaturze przy każdej lada sposobności. Jeśli istnieje na ziemi despotyzm krańcowy i bez zastrzeżeń, jest nim właśnie despotyzm genialnego dziecka względem słabszych duchowo towarzyszków. Buntowniczość Wilsona była dla mnie źródłem najdotkliwszych zakłopotañ, tym bardziej że wbrew przechwałkom, których publiczne w stosunku do jego osoby i jej uroszczeń podkreślanie uważałem za swój obowiązek, czułem w głębi duszy strach przed nim i nie mogłem nie postrzec w tym. tak łatwo przezeń zachowywanym poziomie dorównywania mi wręcz i w oczy – dowodów prawdziwej wyższości, ponieważ sam – ze swej strony musiałem przykładać nieustannych starań, ażeby uniknąć porażki. Wszakże o tej wyższości lub raczej równości ja tylko jeden, właściwie, powziąłem wiadomość. Towarzysze nasi, dzięki niepojętej ślepotcie, zdawali się nawet nie podejrzewać jej istnienia.

I rzeczywiście – jego współzawodnictwo, wytrwałość i przede wszystkim jego zuchwałość a dotkliwe wtrącania się do wszystkich moich zamysłów nie sięgały ponad poziom spraw osobistych. Zdawał się przy tym pozbawiony miłości własnej, która mnie pchała do władztwa, oraz owej namiętnej żywotności, która dostarczała mi środków po temu. Można było pomyśleć, że w swym współzawodnictwie powoduje się wyłącznie fantastyczną żądzą krzyżowania mych zamiarów, oraz zniewalania mnie do podziwu i do rozpacz, chociaż zdarzały się chwile, gdy nie mogłem nie zauważyć z powikłanym uczuciem zdumienia, poniżenia i gniewu, że do swych obelg, zniewag i zaprzeczeń dorzuca pewną domieszkę zbyt niewczesnej i – doprawdy – najnieznośniejszej pod słońcem przychylności. Owo dziwne zachowanie się mogę chyba wytłumaczyć sobie wyłącznie jako skutek bezwzględnej zarozumiałości, która samozwańczo posługuje się gminnym tonem orędownictwa i poparcia.

Zapewne ta ostatnia cecha postępowania Wilsona, łącznie z naszym współimiennictwem oraz z przypadkową zgółą jednoczesnością zjawienia się w gmachu Szkolnym, przyczyniła się do rozpowszechnienia wśród uczniów klas wyższych zdania, iż jesteśmy braćmi. Ci zazwyczaj niezbyt szczegółowo wglądali do życia młodszych kolegów. Wspomniałem, zda się, lub powinienem był wspomnieć, iż Wilson, w najdalszych nawet rozgałęzieniach nie był spokrewniony z moim rodem. Lecz – doprawdy – gdybyśmy byli braćmi, byłibyśmy jednocześnie bliźniętami, ponieważ po opuszczeniu zakładu doktora Bransby'ego dowiedziałem się przypadkiem, że mój imiennik urodził się 19 stycznia 1813 r. – godny uwagi zbieg okoliczności, gdyż ów dzień jest właśnie dniem moich urodzin. Dziwnym wydać się może ów fakt, że mimo nieustannych trwóg, o które przyprowadzało mnie współzawodnictwo Wilsona i jego nieznośna przekora, nie mogłem dotrzeć do bezwzględnej dlań nienawiści.

Nieodwołalnie i niemal co dzień wszczynaliśmy kłótnię wzajemną, w której, przyznając mi publicznie palmę pierwszeństwa, starał się w ten lub inny sposób zaznaczyć, iż owa palma nie mnie, lecz jemu się należy.

Otóż moja duma a jego rzetelna godność trzymały nas zawsze w ścisłym zakresie przyzwoitości, a wszakże dusze nasze były sobie wzajem tak często podobne, iż tylko nasz stosunek przygodny wzbraniał, być może, obudzonemu we mnie uczuciu rozwinąć się w uczucie, przyjaźni. Trudno mi, doprawdy, określić, a nawet opisać rdzeń moich dlań uczuć, tworzyły one pstrokatą i różnorodną gmatwaninę – była w niej gwałtowna zawziętość, która nie przedzierzgnęła się jeszcze w nienawiść, tudzież ocena wartości, a raczej cześć dla osoby, sporo strachu i niepomierna a płochliwa ciekawość. Dla psychologów zbyteczny jest chyba dodatek, że obydwaj – Wilson i ja – byliśmy nierozłącznymi towarzyszami. Bez wątpienia osobliwość i dwuznaczność nowego stosunku wszystkie moje – szczerze czy udane, lecz w każdym razie liczne – przeciw niemu napaści przekształcała raczej w szyderstwa i utarczki (żart czyliż nie potrafi ranić doskonale?) aniżeli w poważną i określoną wrogość. Wszakże wysiłki moje w tym kierunku nie zawsze wieńczyły się tryumfem, nie wyłączając nawet chwil, gdy najprzebieglej knowałem swe plany, ponieważ mój

imiennik posiadał w swym charakterze sporo owej pełnej zastrzeżeń i spokoju surowości, która, igrając ostrzem własnego dowcipu, nie odsłania nigdy pięty Achillesowej i stanowczo wymyka się wszelkim śmiesznościom. Nie mogłem w nim znaleźć żadnej słabej strony, prócz jednej tylko, polegającej na szczególe zewnętrznym, który, jako wynik ułomności organicznej, pominąłby milczeniem każdy – mniej niż ja – do kresów zaciekłości doprowadzony przeciwnik.

Mój współzawodnik miał niedobór w strunach głosowych, który nigdy mu nie pozwalał wybiegać głosem ponad poziom bardzo uciszonego szeptu. Nie omieszkalem wedle mej możliwości ciągnąć z owego kalectwa politowania godnych zysków.

Wilson pomstował rozmaicie, lecz jeden szczególnie rodzaj jego złośliwego odwetu zatrząsał mię nadmiernie. Nigdy nie umiał rozwiązać tej zagadki, do jakich przebiegłych środków uciekł się w zasadzie jego umysł, aby wykryć, iż drobiazg tak nieznaczny może mi przysparzać tyle udręki? Wszakże, zrobiwszy to odkrycie, stosował do mnie uporczywie owo narzędzie męczarni. Zawsze czułem wstręt dla mego nieudanego, bo tak niewytwornego nazwiska oraz dla gminnego, jeśli nie plebejuszowskiego zgoła, imienia. Dźwięki tych zgłosek zatruwały mi uszy – i kiedy, w dniu mego przybycia, wtóry William Wilson zjawił się w szkole, urągałem mu w duchu za owo imię i obrzydziłem je sobie podwójnie, ponieważ je nosił cudzoziemiec – cudzoziemiec, dzięki któremu miała mię ścigać dwukrotna sposobność chłonięcia uchem tych dźwięków, a którego osobę miałem nieustannie oglądać, wiedząc z góry, iż w zwykłym trybie szkolnego żywota, z powodu nienawistnego zbiegu okoliczności czyni jego będą przypisywane mojej osobie i odwrotnie. Uczucie rozdrażnienia, wynikłe z owej przyczyny, zaostrzało się z biegiem wypadków, które odsłaniały w całej pełni duchowe i cielesne podobieństwo pomiędzy mną a moim przeciwnikiem. Jeszcze nie wykryłem tego znamienego faktu, że jesteśmy rówieśnikami, a już postrzegłem, że jesteśmy jednakiego wzrostu, i zauważyłem szczególne nawet podobieństwo i w całości kształcie, i w rysach naszych twarzy. Doprowadzała mnie do wściekłości pogłoska o naszym pokrewieństwie, której zazwyczaj dawały posłuch klasy wyższe. Słowem – nic nie budziło we mnie poważniejszych niepokojów (choć ukrywałem najpilniej oznaki tych niepokojów), jak lada napomknienie o naszym podobieństwie już to z ducha, już to z ciała, już to z daty urodzenia. Wszakże nie miałem doprawdy najmniejszego powodu do przypuszczeń, że owa tożsamość (z wyjątkiem faktu pokrewieństwa i owych szczegółów, które Wilson osobiście wypatrzyć potrafił) była kiedykolwiek przedmiotem roztrząsań, a nawet spostrzeżeń ze strony kolegów. Natomiast jasne było dla mnie, iż on; sam przez się oglądał owo podobieństwo we wszystkich przejawach: i z równą moją – bacnością. Wszakże tę okoliczność, iż w tego rodzaju przypadkach potrafił wyznaleźć niewyczerpaną kopalnię udręczeń, mogłem przypisać, jak wyżej rzekłem, tylko wyższej nad zwykły poziom przenikliwości. Dawał mi odpowiedzi, doskonale przedrzeźniając moją osobę w ruchach i słowach, i przedziwnie grał swoją rolę.

Ubranie moje łatwym było do odwzorowania przedmiotem. Bez trudu też przywłaszczył sobie mój chód i ogólny charakter postawy. Nawet głos mój, mimo wspomnianych niedoborów organicznych, nie wymknął się jego zaborczości. Nie próbował, ma się rozumieć, podchwycenia dźwięków donośnych, lecz zachował tożsamość barwy – i głos jego, mimo uciszenia, stawał się doskonałym echem mego głosu.

Próżno bym starał się opisać, do jakiego stopnia dręczył mnie ów dziwaczny portret – mogę bowiem nazwać go portretem, nie zaś tylko karykaturą. Jedną tylko miałem pociechę, mianowicie tę, że naśladownictwa owego, jak mi się zdawało, nikt, prócz mnie, nie zauważył, i miałem przeto wyłącznie mus osobistego znoszenia tajemniczych i dziwnie sarkastycznych: uśmiechów mego imiennika.

Zadowolony, iż mu się udało wyrzucić na mnie wrażenie pożądane, zdawał się ciszkiem radować z zadanej mi rany i okazywał szczególną pogardę dla publicznego poklasku, który z taką łatwością mógłby pozyskać dzięki swym fortunnym pomysłom. Jak się to stało, że koledzy nasi nie domyślali się jego zamiarów, nie widzieli całej roboty wykonawczej i nie przyłączyli się do jego szyderczej radości? Przez szereg niepokoju pełnych miesięcy była to dla mnie zagadka nie

do rozstrzygnięcia. Być może, iż powolność stopniowań czyniła naśladownictwo mniej widocznym lub raczej swe bezpieczeństwo zawdzięczał pozorom mistrzostwa, którymi tak zręcznie przejmował się kopista, pogardzając martwą literą – jedynie pochwytną w obrazie dla umysłów tępych – i oddawał istotnego ducha oryginału ku tym większemu z mej strony zdziwieniu i ku tym większej goryczy osobistej.

Wspominałem już kilkakrotnie o powziętym przezeń względem mej osoby, a wielce dotkliwym tonie pobłażliwej opieki i o jego częstych a poufnych stróżowaniach mej woli. Stróżowania owe nabierały częstokroć przykrych zabarwień przestrogi – przestrogi, udzielanej nie otwarcie, jeno w domysłach i napomknieniach. Przyjmołem je z odrazą, która urastała w miarę, gdy i ja urastał. A jednak muszę mu oddać pełną uznania i należną sprawiedliwość, iż nie przypominam sobie w owej odległej już epoce ani jednego wypadku, ażeby wpływy mego współzawodnika zawierały w sobie rodzaj błędów i szaleństw, tak właściwych jego wiekowi, pozbawionemu zazwyczaj dojrzałości i doświadczenia – iż, jeśli nie talentem i ogłdą, to w każdym razie przewyższał mnie o wiele subtelnością wyczuć moralnych – i że wreszcie byłbym dzisiaj lepszym, a przeto szczęśliwszym człowiekiem, gdybym rzadziej odrzucał rady, zatajone w doniosłych szeptach, które wówczas nieciły we mnie jeno nienawiść tak głęboką i pogardę, tak pełną goryczy.

Koniec końcem zbuntowałem się doszczętnie przeciw tak potwornym czatom i z dniem każdym coraz otwarciej nienawidziłem tego, com uważał za nieznośną bezczelność. Wyżej rzekłem, iż w pierwszych latach naszego koleżeństwa uczucia moje względem Wilsona łatwo mogły przeobrazić się w przyjaźń, lecz w ostatnich miesiącach mego w szkole pobytu, pomimo niewątpliwie znacznej niżki w poziomie zwykłych zabiegów jego natręctwa, uczucia moje – w równej niemal mierze – zniżyły się do poziomu istotnej nienawiści. Zdaje mi się, iż zauważył to pewnego razu i odtąd unikał mnie lub udawał, że unika.

Jeśli mię pamięć nie myli, wypadło to w tym samym mniej więcej czasie, kiedy na tle jednej gwałtownej pomiędzy nami kłótni, w której mój przeciwnik zatracił właściwą sobie ogłędność i dał gniewom, obcą niemal swej naturze folę, wykryłem lub przywidziało mi się, że wykrył w jego tonie, wyrazie twarzy i w całej postaci coś, co mię na razie przejęło dreszczem, potem do głębi rozciekawilo, narzucając mej duszy niejasne widma wczesnego dzieciństwa – cudaczne, mętne a pilne wspomnienia owych dni, gdy pamięć moja jeszcze na świat nie przyszła. Nie potrafiłbym lepiej określić tłoczącego mnie wrażenia, jak podkreślając trudność pozbycia się tej myśli, że obecną mym oczom istotę znał już ongi – w epokach niezmiernie zamierzchłych – w przeszłości bezkreśnie nawet oddalonej. Wszakże przywidzenie owo pierzchnęło tak samo szybko, jak szybko powstało – i napomykam o nim jeno w tym celu, aby zaznaczyć dzień ostatniej rozmowy pomiędzy mną a mym osobliwym imiennikiem.

Stare i obszerne domostwo w swych niezliczonych skrzydłach zawierało kilka olbrzymich komnat, które łączyły się ze sobą i stanowiły sypialnie dla większości żaków. Ponadto, jak to musowo zdarza się w budynku, tak nieszczęśliwie pomyślanym, istniała cała ciżba kątów i zakątków – wyniki skrawków i narożnych obrównań budowy. Oszczędnościowa wynalazczość doktora Bransby'ego przedzierzgnęła je hurtem w sypialnie. Ponieważ jednak były to zaledwo szczupłe cele, mogły tedy dać pobyt jednej tylko osobie. Jeden z tych małych pokojów zajmował Wilson.

Pewnej nocy, na schyłku piątego roku żakostwa i bezpośrednio po wspomnianej kłótni, korzystając ze snu, który wszystkich ogarnął, wstałem z łóżka i z lampą w dłoni sunąłem poprzez labirynt wąskich korytarzy z mojej sypialni do sypialni mego przeciwnika. Długo kosztem swych wysiłków knułem jeden z tych złośliwych figłów, jedną z tych bolesnych zasadzek, w których dotychczas zawsze pudłowałem. Powziąłem myśl natychmiastowego wykonania mych zamierzeń i postanowiłem dać mu odczuć całą głąb owej złośliwości, która we mnie wezbrała. Dotarłem do jego celi, wszedłem bez szumu, pozostawiając u drzwi lampę, przesłoniętą abażurem.

Posuwałem się krok za krokiem, nasłuchując szmerów jego spokojnego oddechu. Pewny, że śpi głęboko, wróciłem do drzwi, ująłem lampę i ponownie zbliżyłem się do łóżka. Okalały je koutary. Uchyliłem ich z lekka i z wolna, aby wykonać mój zamiar, lecz jeden ruchliwy promień padł

wręcz na śpiącego i jednocześnie wzrok mój utkwił w jego twarzy. Jałem się przyglądać – i drętwota przerażeń, zimny dreszcz strachu przeniknęły mię błyskawicznie aż do szpiku kości. Serce zadygotało mi w piersi, kolana ugięły się pode mną, całą moją istotę ogarnął lęk ponad siły i ponad zrozumienie. Dyszałem konwulsyjnie, zniżając lampę jeszcze poziomiej do jego twarzy.

Takież to były – naprawdę takie rysy twarzy Wiliama Wilsona? Widziałem jak najwyraźniej, że to jego rysy, lecz dygotałem niby w febrze mającąc, że nie do niego należą. Cóż za powód, w tych rysach zatajony, potrafił w takim stopniu zmącić mój umysł? Przyglądałem, się nadal – i doznałem zawrotu głowy pod wpływem tysiąca bezładnych wniosków. Nie ukazywał mi się w takiej postaci, o, doprawdy, nie ukazywał mi się taki w godzinach czynnych, gdy czuwał. Tożsamość nazwiska! Tożsamość rysów! Jednoczesność przybycia do szkoły! A potem – owo zjadliwe i niepojęte przedrzeźnianie mego chodu, głosu, ubrania i sposobu bycia!

Dałabysy się, doprawdy, w zakresie codziennych prawdopodobieństw pomieścić ta okoliczność, iż t o, com obecnie oglądał, było zwykłym wynikiem owego nałogu sarkastycznych małpowañ? Zdjęty przerażeniem, drżący na całym ciele zgasiłem lampę, ciszką wybrnąłem z pokoju i raz na zawsze opuściłem zgrzybiałe mury tej szkoły, aby już nigdy do nich nie powrócić.

Po upływie kilku miesięcy, spędzonych w ognisku rodzinnym w niepokalanej beczynności, oddano mnie do szkoły w Etonie. Ta krótka przerwa wystarczyła, aby przytłumić we mnie wspomnienia wypadków, zdarzonych w szkole Bransby'ego, a w każdym razie – aby odmienić istotę uczuć nieconych owymi wspomnieniami. Rzeczywistość, tragiczny podkład dramatu – pierzchły. Miałem obecnie kilka danych do powątpiewania o świadectwie mych zmysłów – i rzadkom wspominał całe zajście bez podziwiania owego bezgranicza, którego osiągnąć może łatwowierność ludzka, oraz bez zaznaczenia uśmiechem niezwykłych zasobów odziedziczonej przeze mnie wyobraźni. Zresztą, gatunek życia, które pędziłem w Etonie, nie nadawał się do uszczuplenia tego rodzaju sceptycyzmu. Odmęty szалу, w których się pograżyłem niezwłocznie i bez namysłu, pochłoneły wszystko prócz szumowin ubiegłych dni – w okamgnieniu zatopiły wszelkie trwałe i poważne wrażenia i pozostawiły w pamięci jeno lekkomyślną powierzchnię minionego żywota. Nie mam wszakże zamiaru kreślenia tu całego przebiegu mych nikczemnych wybryków – wybryków, które urągając wszelkim prawom, wymykały się wszelkiej baczności. Trzy szaleńcze, na marne strwonione lata zdołały mię jeno umocnić w mych występnych nałogach i niemal anormalnie wzmogły moją dojrzałość fizyczną. Pewnego dnia, po całym, na zwierzęcych uciechach zmarnotrawionym tygodniu – gwoli potajemnej orgii zgromadziłem w mym mieszkaniu pewne kółko studentów. Zebraliśmy się o późnej godzinie nocnej, ponieważ rozpustę naszą mieliśmy nabożnie uprawiać aż do rana. Wino płynęło strumieniami, a nie zaniedbaliśmy i innych, niebezpieczniejszych, być może, pokus – tak, że w chwili, gdy świt od wschodu przejaśnił niebiosy, obłęd nasz i nasze wybryki doszły do szczytu. Wściekle podniecony grą w karty i winem, upierałem się przy jakimś cudacznie sprośnym toaście, gdy nagle skupienie moje rozproszył skrzyp gwałtownie a na wpół rozwartych drzwi i pilny głos służącego oznajmił mi, że ktoś – o pozorach niezwykłego pośpiechu – chce się ze mną rozmówić w przedpokoju.

Pod wpływem osobliwego upojenia ta niespodziana przerwa raczej uradowała mnie, niżeli zdziwiła. Porwałem się chwiejnie przed siebie i, uszedłszy kilka kroków, trafiłem do przedpokoju. W tym niskim i wąskim wnętrzu nie było ani jednego światła i rozwidniał je tylko niezwykle wątpli, a przez sklepienie okno przesiany promień świtu. Stanąwszy w progu – wypatrzyłem postać młodzieńca, mniej więcej mego wzrostu, przyodzianego po domowemu „w ubranie z białego każmirku, skrojone według nowej mody, jak to, które miałem w tej chwili na sobie.

Ów wąty promień udzielił mi widzenia tych przedmiotów, lecz rysów twarzy rozróżnić nie mogłem. Zaledwom wszedł – młodzieniec rzucił się ku mnie i, chwyciwszy mię za ramię ruchem władczego zniecierpliwienia, szepnął mi do ucha te słowa: „William Wilson!”

Wytrzeźwiałem w okamgnieniu.

W postawie nieznajomego, w nerwowym drganiu palca, który trzymał wzwyż pomiędzy moimi oczyma a brzaskiem zorzy, było coś, co nappełniło mię do cna zdziwieniem, lecz nie stąd wynikło, że się wzruszyłem tak gwałtownie. Przyczyną była – powaga, uroczystość przestrogi zawartej w tym zdaniu szczególnym, uciszonym i podobnym do syku – a przede wszystkim – charakter, ton, barwa tych kilku zgłosek – prostych, poufnych, a jednak tajemniczo wyszeptanych, które, wraz z tysiącem nagromadzonych z przeszłości wspomnień, wstrząsnęły mą duszą jak dół stosu Wolty. Zanim zdążyłem oprzytomnieć;

młodzieniec – znikł z mych oczu.

Chociaż ten wypadek wywarł niewątpliwie bardzo żywe na mym nietrzeźwym umyśle wrażenie, wszakże wrażenie owo – tak żywe – wkrótce zamarło. I rzeczywiście przez kilka tygodni już to byłem oddany najpoważniejszym badaniom naukowym, już to trwałem w mglistej powłoce chorobliwych rozmyślań. Nie starałem się zatajać przed sobą tożsamości szczególnego osobnika, który tak natarczywie dręczył mnie swymi poradami. Lecz kim, lecz czym był ów Wilson? I skąd przybywał? I jakie miał zamiary? Na żadne z tych pytań nie mogłem dać wystarczającej odpowiedzi. Stwierdziłem jeno – w stosunku do jego osoby – że nagle katastrofa rodzinna zniewoliła go do opuszczenia zakładu doktora Bransby'ego w godzinach południowych owego dnia, który był dniem mojej ucieczki. Po pewnym jednak czasie przestałem myśleć o tym, i uwagę moją pochłonął całkowicie zamierzony wyjazd do Oksfordu. Tam – dzięki próżnej hojności rodziców, która mi pozwalała pędzić życie wystawne i otaczać się do woli tak upragnionym mi już od dawna przepychem, zdobyłem wkrótce możność prześcigania w zbytkach najdumniejszych nawet dziedziców najbogatszych hrabstw Wielkiej Brytanii.

Zachęcane do grzechu tak zasobnymi środkami, przyrodzone moje skłonności wybuchły z mocą podwójną i w szaleńczym opętaniu rozpusty deptałem najzwyczajniejsze zasady przyzwoitości. Szczegółowe zastanawianie się nad moimi wybrykami byłoby nonsensem. Dość, że w zbytkach prześcignąłem Heroda i dość, że darząc nazwami mnóstwo nowych szalów, przyrzuciłem obfity dodatek do długiego katalogu występków, rozpanoszonych wówczas w najrozpuśniejszej w Europie wszechnicy.

Trudno, zda się, dać wiarę temu, że godność moją szlachecką poniżyłem aż do stopnia pilnego wtajemniczania się w najnikczemniejsze fortele zawodowych karciarzy i że wreszcie, jako adept tej wiedzy haniebnej – zażyłem mych umiejętności w celu poszerzenia i poza tym olbrzymich dochodów na karb najsłabszych umysłowo kolegów. A wszakże tak było! Sama właśnie potworność tych na wszelką cześć i godność zamachów była widocznie głównym, jeśli nie jedynym powodem mej bezkarności. Bo i któż spośród najrozpuśniejszych moich towarzyszy nie zaprzeczyłby raczej najoczywistszemu świadectwu własnych zmysłów, aniżeli podejrzewałby o podobne czyny wesołego, szczerego, wspaniałomyślnego Williama Wilsona – najszlachetniejszego i najhojniejszego kolegę w Oksfordzie – którego szaleństwa, zdaniem jego własnych pasożytów, były jego szaleństwami młodości i pozbawionej wędzideł wyobraźni, którego błędy były jeno nieporównanym wybrykiem, a najczarniejsze występki – bez troską i wspaniałą buńczucznością?

Tym wesołym trybem spędziłem już dwa lata, gdy nagle wstąpił do wszechnicy pewien młodzieniec z niedojrzałej szlachty, nazwiskiem Gleudinning, według ogólnego zdania bogaty jak Herod Atycki, a któremu bogactwo własne ciążyło nie nazbyt. W bardzo krótkim czasie zmierkowałem, iż jest tępym na umyśle, i, ma się rozumieć, upatrzyłem go sobie jako doskonałą ofiarę mych uzdolnień. Często wciągałem go do gry i z właściwą graczom przebiegłością udzielałem mu starannie możności znacznych wygranych, ażeby tym skuteczniej uwikłać go w sieci. Wreszcie, gdy zamiar mój dojrzał, spotkałem się z nim w mieszkaniu jednego z naszych kolegów – niejakiego Prestona, zarówno z nami obydwoma zażyłego, który wszakże – muszę mu to przyznać – nie domyślał się wcale mych zamiarów. Dla nadania pozorów przyzwoitości przyczyniłem się do zaproszenia gromadki ośmiu czy dziesięciu osób i przyłożyłem osobliwych starań, ażeby ujęcie do rąk kart wydało się czynem zgoła przypadkowym – i powziętym jeno na żądanie upatrzonego w tym celu przeze mnie dudka...

Aby skrócić tak hańbiącą opowieść, nadmienię tylko, że nie zaniedbałem żadnego z owych nikczemnych wybiegów, których stosowanie w podobnych razach tak się już utarło, iż godna jest podziwu niewyczerpana nigdy obecność na ziemi głupców, przeznaczonych na ofiarę wspomnianych wybiegów.

Gra nasza przeciągnęła się do późna w noc, gdy wreszcie zdziałał, iż Gleudinning stał się jedynym moim partnerem. Była to właśnie moja ulubiona gra – ecarte. Reszta towarzystwa, rozciekawiona wybujałymi stawkami naszej gry, postroniła swe karty i otoczyła nas kołem. Nasz przybysz, którego w pierwszej połowie wieczoru chytrze skusiłem do grubej wypitki, tasował, rozdawał i grał z dziwną nerwowością, popartą poniekąd, lecz – zdaniem mojej – niezupełnie wytlumaczoną upojeniem. Stał się też wkrótce moim dłużnikiem na pokaźną sumę, gdy nagle, złopnawszy olbrzymią szklenicę oporto, uczynił to, com z zimną krwią przewidział, a mianowicie zaproponował podwojenie już i dotychczas zbyt przesadnych stawek. Udując opór trafnie i wy czekawszy owej chwili, gdy ponowna moja odmowa pobudziła go do ostrych słówek, nadających mej zgodzie pozór ukrytej urazy – przystałem w końcu na jego żądanie. Stało się to, co stać się musiało: ofiara całkowicie uwikłała się w mych sieciach, w niespełna godzinę dług jego urósł czterokrotnie. Od pewnego czasu twarz jego pozbyła się barwnych, a winem przysporzonych rumieńców, lecz w tej chwili postrzegłem ze zdziwieniem, iż powlekła ją istic przeraźliwa bladeść. Mówię: ze zdziwieniem, gdyż zasięgnąłem o Gleudinngu starannych wiadomości. Przedstawiono mi go jako niezmiernego bogacza i sumy, które przegrał dotychczas, aczkolwiek naprawdę okazałe, nie mogły według moich przynajmniej przypuszczeń – zakłopotać go zbyt poważnie, a tym bardziej wzruszyć w sposób tak gwałtowny.

Najprostszy wniosek, który mi przyszedł do głowy, był ten, że wypite wino do cna zmąciło mu umysł. I raczej dla poratowania swej osoby w oczach przyjaciół niż dla jakichkolwiek pobudek bezinteresownych zamierzyłem stanowczo nalegać na zaprzestaniu gry, gdy nagle kilka słów, które z ust obecnych padły w moim pobliżu, i okrzyk Gleudinnga, świadczący o rozpaczliwej bezwzględnej, uświadomiły mnie, że go zrujnował doszczętnie w warunkach, które zeń uczyniły przedmiot ogólnej litości i uchroniłyby go nawet od złych zamiarów szatana.

Trudno by mi było powiedzieć, jak powinienem był w danym razie postąpić. Oplakane położenie mej ofiary ogarnęło wszystkich uczuciem, wstydu i smutku. Przez kilka minut trwało głębokie milczenie i w tym okresie czułem, że twarz moja – na przekór mym wysiłkom – drga pod wpływem dotkliwych, pogardy i wyrzutu pełnych spojrzeń, rzucanych na mnie przez najmniej zatwardziały sercem towarzyszy. Wyznam nawet, iż nieznośne brzemie trwogi stoczyło mi się nagle z piersi na widok tego, które nastąpiło – nagłego a niezwykle wtargnięcia do pokoju pewnej osoby.

Ciężkie skrzydła drzwi rozwarły się na oścież, od razu, z tak gwałtownym i porywczym rozpędem, że wszystkie świece pogasły jak zakłute. Wszakże mrąca jaźń pozwoliła mi wypatrzyć wejście nieznajomej postaci – postaci męskiej, mniej więcej mego wzrostu, owiniętej w płaszcz obcisły. Tymczasem nastała ciemność zupełna i mogliśmy jeno wyczuwać jej pobyt wpośród nas.

Zanim otrząsnęliśmy się z nadmiaru zdumienia, którym nas przejął widok tej przemocy, posłyszeliśmy głos nieproszonego gościa: „Panowie! – rzekł głosem bardzo uciszonym, głosem niezapomnianym, który mię przeniknął aż do szpiku kości. – Panowie, nie pilno mi tłumaczyć się z mych czynów, gdyż tak, a nie inaczej postępując, spełniałem jeno swój obowiązek. Nie jesteście bez wątpienia należycie świadomi gatunku owego człowieka, który tej nocy ogrwał lorda Gleudinnga na niepomiarłą sumę. Chcę wam udzielić szybkich i stanowczych sposobów zdobycia tych wielce ważnych wiadomości. Zechciejcie oto zbadać podszewkę u wyłogów jego lewego rękawa oraz kilka drobnych paczek, które się znajdują w niezgorzej pojemnych kieszeniach jego haftowanej na domowy użytek odzieży”.

Gdy mówił te słowa, panowała tak głęboka cisza, iż posłyszałbyś zlot szpilki na dywan. Gdy skończył – wyszedł natychmiast tak samo nagle, jak nagle wszedł. Czyliż mogę opisać – czyliż opiszę moje wrażenia? Mamże potrzebę zaznaczenia, że doznał wszystkich przerażeń skazane-

go na śmierć? Miałem wprawdzie mało czasu do rozmyślań. Kilka rąk schwyciło mnie groźnie i – natychmiast zapalono światła. Nastąpiły poszukiwania. W podszewce mego rękawa znaleziono wszystkie najniezbędniejsze do gry w ecarte grupy, a w kieszeniach mego ubrania – kilka talii kart najzupełniej podobnych do tych, których używaliśmy podczas swych zebrań z tą różnicą, że moje należały do ściśle tak zwanego rodzaju poprawionych, to znaczy, iż honory miały nieznaczne wypuklizny u węższych krańców, a młódki niepostrzegalne wypuklizny u szerszych krańców. Dzięki takiemu podziałowi ofiara, zazwyczaj przekładając karty wzdłuż talii, czyni to w sposób, który niezmiennie dostarcza partnerowi jednego honoru, podczas gdy szuler, przekładając w poprzek, nigdy nie udzieli swej ofierze karty, którą by mogła zakarbować na swą korzyść.

Huragan oburzenia mniej by mnie poruszył niż wzgardliwe milczenie i sarkastyczna cisza, którymi powitano owo odkrycie.

–,Panie Wilsonie! – rzekł nasz gospodarz, pochylając się i unosząc z ziemi wspaniały płaszcz, podszyty drogocennym futrem – panie Wilsonie! Oto pańska własność. (Dni były zimne i wychodząc z domu narzuciłem na mój poranny przyodziewek płaszcz, który zdjąłem, stanawszy na placu gry.) Przypuszczam – dodał, oglądając z gorzkim uśmiechem fałdy mego płaszcza – iż poszukiwanie tutaj nowych dowodów pańskiego mistrzostwa jest zgoła zbyteczne. Zaprawdę, mamy ich do syta. Ufam, że zrozumie pan konieczność opuszczenia Oksfordu – a w każdym razie niezwłocznego usunięcia się z mego domu”.

Oplwany, strącony aż do błota – byłbym prawdopodobnie ukarał sprawcę mych zniewag osobistym, natychmiastowym natarciem, gdyby nie to, że całkowitą moją uwagę pochłonął w tej chwili przypadek, wprost zdumiewający.

Płaszcz, w którym przyszedłem, był podbity futrem „wspaniałym – niewiarogodnie rzadkim i cennym, brak mi zresztą słów po temu. Krój jego był krojem fantastycznym – mego własnego wynalazku, ponieważ w tego rodzaju błahostkach byłem zaciekle wybredny i posuwałem szal dandyzmu aż do absurdu.

Otóż, gdy Preston podał mi ów, który podniósł z ziemi, z pobliza drzwi – ze zdziwieniem dosięgającym przerażenia postrzegłem, że mam już swój płaszcz na ramionach, bom bez wątpienia przywdział go bezwiednie – i że ten, który mi Preston podawał, był dokładną w najmniejszych szczegółach podobizną mego płaszcza. Dziwną istotę, która mię tak straszliwie zdradziła, spowiła – pamiętam to dobrze – płaszcz, i nikt z obecnych, okrom mnie, w płaszczu nie przyszedł. Zachowując resztę przytomności, wziąłem do rąk płaszcz, który podał mi Preston, i bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi narzuciłem go powierzch mego płaszcza. Wyszedłem z pokoju z wyzwaniem i pogroźką w oczach. Nazajutrz, zanim świt zaświtał, jak szalony uciekłem z Oksfordu na kontynent, śmiertelnie porażony lękiem i wstydem.

Nadaremnie uciekałem. Ścigał mię mój los przeklęty, tryumfu pełen, jakby chciał mi dowieść, że dotychczas jeno zapoczątkował działanie swych potęg tajemnych. Zaledwo dotknąłem stopą Paryża, a już miałem nowy dowód nienawistnego w mym życiu udziału Wilsona. Lata płynęły, a jam nie zaznał wytchnienia. Nikczemny! Z jakąż natarczywą służalczością, z jakimż widmowym przeczuleniem stanął w Rzymie pomiędzy mną a moją żądzą zaszczytów! A w Wiedniu – a w Berlinie – a w Moskwie! Byłże taki zakątek, gdzie nie miałbym bolesnej sposobności do miotania nań przekleństw ze dna mego serca? Gnany strachem panicznym, uciekałem w końcu od jego niedocieczonej tyranii jak od zarazy, uciekałem aż na krańce świata, uciekałem nadaremnie.

I nieustannie, nieustannie badając ukradkiem własną duszę, powtarzałem te same pytania: kto zacz jest? skąd przybywa? jakie knuje zamiary? Lecz znikąd nie było odpowiedzi. Z drobiazgową pilnością rozważałem – żdźbło po żdźbło – sposoby, metodę i najistotniejsze cechy jego zuchwałych czatowań. Lecz i tu jeszcze niewiele wykryłem z tego, co mogło stać się podłożem dla domysłów. Znamienna to była, zaiste, okoliczność, iż w tych częstych wypadkach, gdy niedawno jeszcze stawał mi w poprzek drogi, czynił to jeno w celu pokrzyżowania mych zamiarów i przeszkodzenia zamysłom, których wykonanie pociągnęłoby tylko za sobą gorzką klęskę.

Marne, doprawdy, usprawiedliwienie tak samozwańczo narzucającej się przemocy! Marne odszkodowanie przyrodzonych, a tak natarczywie, tak zuchwale odpartych zasad wolnej woli!

Miałem też sposobność zaznaczenia, że mój oprawca od dłuższego czasu starannie i z cudotwórczą zręcznością przestrzegając manii utożsamiania mi się w odzieży – potrafił zawsze, ilekroć czynił wstręty mej woli, pozbawić mnie możliwości oglądania rysów swej twarzy. Kimkolwiek był ów przeklęty Wilson, tajemniczość tego rodzaju niezaprzeczenie była szczytem przesady i niedorzeczności. Czyż mógł na chwilę choćby przypuścić, że w moim doradcy z Etonu, w burzycielu mej czci z Oksfordu – w tym, który pogmatwałzamiary mych uroszczeń w Rzymie – plany mej zemsty w Paryżu, zamysły mych opętań miłosnych w Neapolu i knowania mylnie przezeń zrozumianej chciwości mojej w Egipcie – że w tej istocie, w tym zaciętym moim wrogu i złym duchu mego życia nie rozpoznałem owego ze szkolnych czasów – Williama Wilsona, mego kolegi, współmiejnika i współzawodnika ze szkoły Bransby'ego? Być to nie może! Wszakże niech mi wolno będzie dotrzeć do okropnej a ostatniej sceny dramatu.

Dotychczas byłem gnuśnie powolny jego władczej przemocy. Głęboka cześć, z jaką zwykłem rozważać wzniosły charakter, dostojną mądrość, widomą wszechobecność i wszechpotęgę Wilsona, w połączeniu z jakąś nieokreśloną trwogą, którą mię napelniały inne cechy i przywileje jego osoby, wytworzyły we mnie poczucie mej własnej słabości i niemocy i doradzały bezwzględne, aczkolwiek gorczy i odrazy pełnego posłuszeństwa jego samowolnej dyktaturze.

W ostatnich wszakże czasach całkowicie oddałem się winu i jego potężny wpływ na mój dziedziczny temperament był tak potężny, iż wszelki nadzór coraz bardziej mię niecierpliwił.

Zacząłem narzekać, wahać się – wreszcie stawić Opór. I nie wiem, czyli za przyczyną zwykłego przywidzenia doszedłem do wniosku, iż upór mego oprawcy słabnie pod wpływem mojej własnej nieugiętości. Tak czy owak, w każdym razie wstąpiła we mnie płomienna otucha i w końcu jałem w sobie żywić potajemnie posepny i rozpaczliwy zamiar pozbycia się tego jarzma.

Miało to miejsce w Rzymie, w czasie karnawału roku 18., – byłem na balu maskowym, w pałacu neapolitańskiego księcia Di Broglio. Nadużyłem wina więcej, niżli to było w mym zwyczaju i duszna atmosfera przeludnionych salonów podrażniała mię nieznośnie. Trudność utorowania sobie drogi poprzez ciżbę niemało się przyczyniła do rozjątrzenia moich dąsów, gdyż (pomijając nikczemność celu) szukałem z niepokojem młodej, wesołej, pięknej małżonki starego i zdziwaczałego Di Broglio. Z lekkomyślną ufnością powierzyła mi oznakę szaty, która ją miała przyoblec, i ponieważ postrzegłem z dala ową szatę, spieszo mię było zbliżyć się do niej.

W tej właśnie chwili uczułem, iż czyjaś dłoń łagodnie spoczęła na mym ramieniu, i niezwłocznie wniknął mi do uszu ów niezapomniany, ów głęboki a przeklęty szept!

Rozszalały z gniewu, odwróciłem się nagle ku śmiałkowi, który mię tak zaniepokoił, i popędliwie chwyciłem go za kark. Zgodnie z mym przeczuciem – miał na sobie ubranie zupełnie podobne do mego: płaszcz hiszpański z błękitnego aksamitu, a wokół bioder – pas karmazynowy z przypiętym doń rapirem. Maską z czarnego jedwabiu przesłaniała do cna jego oblicze.

„Nędzniku! – krzyknąłem głosem, ochryplym od wściekłości, a każda z piersi wyszarpięta zgłoską przyrzuciła, zda się, strawy płomieniom mego gniewu. – Nędzniku! Oszuście! Zbrodniarzu nikczemny! Nie będziesz odtąd tropił moich śladów, nie będziesz mię dręczył aż do mojej śmierci! Idź, gdzie rozkażę, albo zabiję cię na miejscu!”.

I, nieodparcie wlokąc go za sobą, przetłoczyłem się od sali balowej aż do przyległej, niewielkiej sieni.

Stanąwszy w sieni, odrzuciłem go ze wściekłością precz – od siebie. Potoczył się ku ścianie. Klnąc, zawarłem drzwi i kazałem mu broń obnażyć. Wahał się przez chwilę, po czym z nieznaczonym westchnieniem dobył, milcząc, swej szpady i stanął w pozycji. Walka wszakże trwała niedługo. Burzyły się we mnie najognistsze – wszelkiego chowu podniety, i w każdej z osobna dłoni czułem dzielność i potęgę całej zgry. W okamgnieniu uderzeniem pięści przyparłem go do muru i tam, mając go w swej mocy, kilkakrotnie, cios za ciosem, zanurzałem mu w piersiach szpadę z bydlęcą drapieżnością.

W tej chwili ktoś dotknął klamki u drzwi. Pośpiesznie zapobiegłem natrętnemu najściu i niezwłocznie powróciłem do konającego wroga. Lecz jakież język ludzki podoła dość opisowi owego zdumienia, owego przestachu, który mię ogarnął na widok tego, co ujrzały wówczas oczy!

Przelotne mgnienie, stracone przeze mnie na zbliżenie się ku drzwiom, wystarczyło widocznie, aby u podstaw odmienić właściwy ład przeciwnych zakątków pokoju.

Olbrzymie zwierciadło – tak mi się wydało w mym popłochu – spiętrzyło się tam, gdzie poprzednio ani znaku po temu nie widział, i ponieważ, zdjęty przerażeniem, szedłem ku temu zwierciadłu, własne moje odbicie, z twarzą wszakże pobladłą i od krwi plamistą, szło ku mnie na spotkanie krokiem słabym i chwiejnym.

Tak mi się – powtarzam – zdawało, lecz było – nie tak! To – wróg mój, to – Wilson trwał przede mną w swej agonii. Maskę jego oraz płaszcz leżały na podłodze – tam, kędy je porzucił! W jego tak znamiennej a osobliwej twarzy – i w jego stroju – każdy rys, każda nitka – była moja, był mój! Był to – bezwzględny tryumf tożsamości!

Był to Wilson, lecz Wilson, wyzbyty na teraz szeptu w swym głosie, tak iż mogłem pomyśleć, że sam wymawiam te słowa, które on właśnie do mnie skierował:

„Zwyciężyłeś i przeto ulegam. Atoli odtąd umarłeś na równi ze mną – umarłeś dla Ziemi, dla Nieba i dla Nadziei! We mnie istniałeś i – spojrzysz w moją śmierć, spojrzysz wskroś tej, która jest twoją, postaci – jak doszczętnie zamordowałeś siebie samego!

Portret owalny

Zamek, do którego mój sługa, zamierzył raczej siłą się przedostać, aniżeli pozwolić mi, ciężko rannemu, na nocleg pod gołym niebem, należał do rodzaju tych ogromem i melancholią obciążonych budynków, które zarówno w rzeczywistości, jak w wyobraźni mistress Radcliffe wznosiły swe zasępione czoła wśród Apeninów. Według wszelkich pozorów – do czasu jeno i zgoła niedawno opuszczono ów zamek. Zajęliśmy jedną z najszczuplejszych i z najmniejszym przepychem umeblowanych komnat. Znajdowała się na wieży, przyległej budynkowi. Ozdoby miała bogate, lecz zgrzybiałe i zniszczone. Mury powlekało obicie i świetniały na nich obfite godła heraldyczne wszelakiego kształtu oraz godna zaiste podziwu ilość obrazów nowożytnych, pełnych stylu, w ramach złotych i po arabsku wzorzystych. Zaciekały mię do głębi – zapewne pod wpływem nawiedzającej mię gorączki – zaciekały mię do głębi owe obrazy, wiszące nie tylko na widocznych powierzchniach muru, lecz i po niezliczonych zakątkach, których nie mogła uniknąć dzwaczna architektura zamku.

Koniec końcem – ponieważ noc już nadchodziła – kazałem Pedrowi zawrzeć ciężkie okiennice komnaty, zapalić stojący u mego wezglowia olbrzymi, kilkuramienny świecznik i odsłonić całkowicie kotary z czarnego aksamitu, ozdobione frędzlami a okalające moje łóżko. Życzyłem sobie tych wszystkich przysposobień w tym celu, abym mógł w razie bezsenności uprzyjemnić sobie czas na przemian już to oglądaniem obrazów, już to odczytywaniem niewielkiej książki, którą znalazłem na poduszce, a która zawierała opis i ocenę wspomnianych obrazów.

Czytałem długo i długo. Oglądałem nabożnie i w skupieniu. Godziny upływały – odlatujące i uroczyste, i głucha północ nadeszła. Położenie świecznika zdało mi się niedogodne i, nie chcąc budzić pogrążonego we śnie sługi, wyciągnąłem z wysiłkiem dłoni i utwierdziłem świecznik tak, aby pełnią promieni rozwidniał karty książki.

Wszakże mój czyn wytworzył wręcz niespodziane skutki. Promienie mnóstwa świec (a była ich spora gromada) padły na wnękę komnaty, którą jedna z kolumn mego łóżka przesłaniała dotąd głębokim cieniem.

W rześmym świetle postrzegłem obraz, który uszedł dotąd mej uwadze. Był to portret młodej dziewczyny w okresie dojrzewania i posiadającej już niemal urok kobiety. Byстрыm rzutem oka dotknąłem malowidła i zwarłem powieki. Czemu? Na razie sam nie rozumiałem, czemu? Lecz podczas gdy powieki moje były zamknięte, badałem pośpiesznie przyczynę, która mię zniewoliła do zamknięcia powiek. Był to odruch mimowolny dla wygrania na czasie i pochwycenia myśli – dla upewnienia siebie samego, że oczy mię nie mylą, dla uciszenia i przysposobienia duszy do spokojniejszych i trafniejszych oglądań. Po kilku chwilach znów z uporczywością spojrzałem na obraz.

Nie mogłem wątpić, mimo żądzy zwątpienia, że go już uprzednio wypatrzyłem z niezmierną dokładnością. Pierwszy bowiem pocisk światła na owo płótno rozwił skostniałość majaceń, która zawładnęła moimi zmysłami, i od razu mię wytrzeźwił.

Był to, jakom już powiedział, portret młodej dziewczyny. Była to jeno – głowa aż po ramiona włącznie, wszystko w tym stylu, który fachowcy nazywają stylem winietowym – sposób malowania przypominał wielce Sully'ego – w ulubionych jego głowach. Ramiona, piersi, a nawet kończyny prześwietlonych włosów tajały niepochwytne w rozwiewnym, lecz głębokim cieniu, który stanowił tło całości. Rama była owalna, bogato złocona i ozdobna w stylu mauretańskim. Jako dzieło sztuki obraz ten był tak godny podziwu, że nie można było chyba znaleźć mu nic równego.

Lecz bardzo być może, iż ani wykonanie dzieła, ani nieśmiertelne piękno samej twarzy nie były tym, co mię tak nagle i tak gwałtownie wzruszyło. Jeszcze mniej mam powodów do przypuszczeń, że moja wyobraźnia, wymykając się swemu półsnowi, zwidziała w tej twarzy – twarz pewnej żyjącej osoby. Postrzegłem od razu, że odcienie rysunku, styl winiety i widok ramy rozwiałyby niezwłocznie podobną mrzonkę i uchroniłyby mnie od chwilowych nawet przywidzeń.

Bezpodzielnie i zapalczywie oddany tym rozmyślaniom, godzinę niemal całą trwałem, na wpół leżąc, na wpół siedząc, z oczyma przykutymi do portretu. Wreszcie – odgadłem istotną tajemnicę jego oddziaływań i upadłem na łóżko. Domyśliłem się, że czar malowidła polega na żywotności wyrazu, który jest bezwzględnym równoważnikiem samego życia, a który od pierwszego wejrzenia przejął mię dreszczem i ostatecznie – stropił, ujarzmił, przeraził. Z głębokim strachem usunąłem świecznik na dawne miejsce.

Ujawszy w ten sposób oczom oglądania przedmiotu mych głębokich wzruszeń, chwyciłem gwałtownie do rąk książkę, która zawierała ocenę i opis obrazów.

Trafiwszy z miejsca na numer, którym był oznaczony portret owalny, przeczytałem niejasną i osobliwą opowieść, i tę poniżej podaję: „Była to młoda, niezmiernie rzadkiej urody dziewczyna – zarówno powabna, jak wesola. Przeklęty jest ów dzień, gdy ujrzała i pokochała, i poślubiła – malarza. On – zapalony, namiętnie oddany pracy, surowy i już w swej sztuce mający – oblubienicę. Ona – młoda dziewczyna, niezmiernie rzadkiej urody – zarówno powabna, jak wesola: nic, jeno światło i uśmiech, i swawolność młodego jelonka. Kochała i wielbiła rzecz wszelaką. Nienawidziła jeno sztuki – swojej rywalki. Przerazała ją jeno – paleta i pędzle, i inne dokuczliwe narzędzia, które ją pozbawiały widoku kochanka. Straszka były dla tej pani nawet te słowa malarza, w których zdradzał chęć utrwalenia na płótnie swojej młodej małżonki. Lecz była pokorna i posłuszna i całymi tygodniami trwała – przesłodka – w ciemnej a górnej komnacie na wieży, kędy światło jeno od sklepień sączyło się na błądź płótna. Wszakże malarz całą swą chlubę widział w swym dziele, które z godziny na godzinę, z dnia na dzień powstawało.

A był to człowiek – pelen zapału, i dziwny, i zamyślony, i tak zapodziały w marzeniach, że nie chciał postrzec, jak światło, tak ponuro wpadające do wnętrza tej samotnej wieży, niszczy zdrowie i ducha jego żony, która widomie nikła dla całego świata, z wyjątkiem jego osoby. Mimo to uśmiechała się wciąż i wciąż – bez skargi, gdyż widziała, że malarz (który wielką cieszył się sławą) z płomienną i żarliwą uciechą oddaje się swej pracy i trwa w niej nocami i dniami, aby przenieść na płótno tę, która go kocha, lecz która z dnia na dzień coraz bardziej niszczeje i marnieje. I doprawdy – ci, którzy oglądali portret, półgłosem zaznaczali podobieństwo, jako skutek wielmożnego cudu i jako dowód nie tylko niezmierniej potęgi samego mistrza, lecz i jego głębokiej miłości dla tej, którą tak przedziwnie odtwarzał na obrazie. Po pewnym jednak czasie, gdy trud dobiegał do końca, nikt nie miał dostępu do wieży, mistrz bowiem oszalał w swych wysiłkach i rzadko odrywał oczy od płótna, nawet w celu przyjrzenia się obliczu swej żony. I nie chciał dostrzec tego, że barwy, które gromadził na płótnie, były odjęte obliczu tej, co przed nim siedziała. A po upływie wielu tygodni, gdy już praca była na ukończeniu i brakło zaledwo jednego rzutu pędzlem po wargach i jednej plamy na oku, dusza w piersiach pani tliła się jeno jak płomyk w lampie. I wówczas pędzel dokonał swego rzutu – i plama na oku spoczęła – i przez jedno mgnienie; mistrz trwał w zachwyceniu przed dziełem spełnionym, lecz w chwilę potem, gdy przedłużył jeszcze swe oglądanie, zadrżał – i zbladł – i wręcz się przeraził! I głosem wzburzonym krzycząc: – „Zaiste! To życie samo!” – odwrócił się znienacka, aby zaoczyć swoją kochankę. Ta wszakże już nie żyła.

Prawdziwy opis wypadku z. P. Waldemarem

Trudno – doprawdy – dziwić się temu, że nadzwyczajny wypadek, jaki się zdarzył panu Waldemarowi, stał się przyczyną sporów. Cud by to był, gdyby się stało inaczej – szczególnie w takich, a nie innych okolicznościach. Chęć wszystkich stron zainteresowanych dochowania sprawy tajemnicy, przynajmniej na razie lub do czasu pozyskania sposobności nowych badań, oraz nasze ku ich skutecznieniu wysiłki dały powód do rozpowszechnionych wśród ogółu, nie uzasadnionych lub przesadnych poglądów, które, ukazując sprawę w świetle najdotkliwiej mylnym, stały się, ma się rozumieć, źródłem głębokiej niewiary.

W chwili obecnej istnieje konieczność, abym podał fakty, w tej przynajmniej postaci, w jakiej sam je rozumiem.

Oto są – w streszczeniu:

W ostatnich trzech latach uwagę moją kilkakrotnie pociągały ku sobie zjawiska magnetyzmu¹ i mniej więcej dziewięć miesięcy temu niemal znenacka uderzyła mnie myśl, że w szeregu dotychczasowych doświadczeń popełniono jedną zastanawiającą i niewytłumaczoną lukę: nikogo nie poddano dotąd magnetyzmowi *in articulo mortis*. Wpadało tedy zbadać: po pierwsze – czy pacjent w tym stanie posiada jakąkolwiek wrażliwość na prąd magnetyczny; po wtóre – czy, w razie twierdzącym, wrażliwość owa pod wpływem danych warunków uszczupla się lub wzrasta.; po trzecie – w jakim stopniu i na jaki przeciąg Czasu można drogą owych doświadczeń powściągnąć zabobrość śmierci. Były i inne punkty do zbadania, lecz powyższe najbardziej podlegały moją ciekawość, szczególnie ów ostatni ze względu na niepomiarłą doniosłość wynikających zeń następstw.

Szukając wokół osobnika, za którego pomocą mógłbym wyjaśnić owe punkty, mimo woli zwróciłem uwagę na przyjaciela mego – Ernesta Waldemara, znanego kompilatora „Biblioteka Forensica” oraz autora (pod pseudonimem Issachara Marxa) polskich przekładów Walensteino. i Gargantuy. Waldemar, który ód roku 1839 przebywał głównie w Harlemlu (Nowy Jork), jest lub był godny szczególnej uwagi z powodu swej niezwykłej chudości – dolną połową ciała przypominał niezmiernie Johna Randolpha – oraz z powodu białych baków, odrzynających się od czarnej czupryny w ten sposób, że każdy brał ową czuprynę za perukę.

Był wyjątkowo nerwowego usposobienia i dzięki temu stanowił doskonałe narzędzie dla doświadczeń magnetycznych. Po dwakroć lub po trzykroć przyprowadziłem go o sen bez zbytnich wysiłków, lecz zawiodły mnie inne oczekiwania, powzięte na zasadzie osobliwej budowy jego ciała. Nigdy wola jego nie uległa mi istotnie i całkowicie, zaś pod względem Jasnowidzenia nie osiągnąłem skutków, na których mógłbym cokolwiek ugruntować. Moje w tym kierunku niepowodzenia przypisywałem zawsze chwiejnemu stanowi jego zdrowia. Na kilka miesięcy przed naszą znajomością lekarze stwierdzili w nim zgoła wyraźne suchoty. Miał niezaprzeczenie zwyczaj mówienia o swej bliskiej śmierci ze sporą obojętnością, jak o rzeczy nieuniknionej i nie nadającej się do żalu.

Nic więc dziwnego, że gdy wyżej skreślone myśli po raz pierwszy przyszły mi do głowy, przypomniałem sobie Waldemara. Zbyt dobrze znałem poważny światopogląd tego człowieka,

¹ Za czasów Poego zjawiskom, które dzisiaj znane są pod nazwą hipnozy, przydawano jeszcze pierwotną nazwę mesmeryzmu lub magnetyzmu, używaną i obecnie dla określenia tzw. magnetyzmu zwierzęcego (p.t.).

ażebym obawiał się jakichkolwiek z jego strony przeszkód; przy tym nie miał on w Ameryce krewnych, którzy by mogli pod pozorem słuszności wtrącić się do sprawy.

Zgoła otwarcie wyznałem mu moje zamiary i, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, okazał w tym kierunku bardzo gorliwą ciekawość. Rzekłem: ku wielkiemu zdziwieniu, ponieważ pomimo zawsze łaskawego udzielania mi swej osoby, gwoździ doświadczeń, nigdy nie zdradzał współczucia dla mych badań. Choroba jego należała do rodzaju tych, które pozwalają na dokładne przewidzenie chwili swego rozwiązania, i koniec końcem zapadł pomiędzy nami układ, że uprzedzi mnie na dwadzieścia cztery godziny przed owym. kresem, który lekarze zgonowi jego wyznaczają.

Siedem miesięcy upłynęło obecnie od czasu, gdy od Waldemara otrzymałem list następującej treści:

„Kochany P.

„Uczynisz chyba niezgorzej, jeżeli przyjdiesz teraz, D. i F. twierdzą zgodnie, iż nie prze-trwam jutrzejszej północy i – moim zdaniem – rachuby ich są trafne lub też niewiele od prawdy odbiegają.

Waldemar.”

Otrzymałem ów list w pół godziny po jego napisaniu i najwyżej w kwadrans potem. – byłem już w pokoju konającego. Nie widziałem go od dni dziesięciu i przeraziła mnie straszliwa zmiana, która, w nim zaszła w tak krótkim okresie czasu.

Twarz jego miała barwę ołowiu, oczy zgoła wygasły, a wychudł tak znacznie, że skóra na policzkach popękała. Wydzieliny flegmy stały się niezwykle obfite, puls zaledwo wyczuwalny. Mimo to zachował w sposób dziwnie osobliwy wszystkie władze umysłowe oraz pewną dozę sił fizycznych. Mówił wyraźnie, sam bez niczyjej pomocy zażywał lekarstwa, które były jeno pół-środkami, i w chwili gdy wszedł do pokoju, był zajęty kreśleniem jakichś uwag w notatniku. Znajdował się w łóżu, wsparty na poduszkach. Doktorzy D. i F. czuwali nad nim.

Uściskawszy dłoń Waldemara, wziąłem tych panów na stronę i otrzymałem od nich szczegółowe sprawozdanie ze stanu chorego.

Lewe płuco od osiemnastu miesięcy znajdowało się w stanie na wpół zwapniałym lub chrząst-kowym i całkowicie straciło zdolność jakiegokolwiek funkcji życiowej. Prawe zaś – w swej górnej okolicy było – jeśli nie doszczętnie – w każdym razie częściowo zwapniało, podczas gdy dolna jego połać była jeno miazgą ropnych, przenikających się nawzajem wrzodów.

Stwierdzono kilka głębokich rozpadów oraz w jednym miejscu – ścisły przyrost żeber. Te zmiany prawego płuca były stosunkowo świeżej daty. Wapnienie odbywało się z niezwykłą szybkością – miesiąc temu nie wykryto jeszcze jego śladów – zaś przyrost zauważono dopiero w ostatnich trzech dniach. Niezależnie od suchot domyślano się aneurysmu aorty, lecz pod tym względem symptomaty wapnienia wzbierały dokładnej diagnozy. Zdaniem obydwu lekarzy śmierć p. Waldemara miała nastąpić nazajutrz, w niedzielę, około północy.

Była właśnie sobota, godzina siódma wieczorem. Opuszczając łóż konającego dla rozmowy ze mną, doktorzy D. i F. pożegnali go na zawsze. Nie zamierzali doń powrócić, lecz ustępując moim prośbom, zgodzili się odwiedzić chorego około godziny dziesiątej w nocy. Po ich wyjściu mówiłem z Waldemarem swobodnie o jego bliskiej śmierci i ze szczególnym naciskiem – o zamierzonym przez nas doświadczeniu.

Okazał, jak zawsze, szczerą ku temu gotowość, a nawet zdradził gorącą chęć poddania się do-świadczeniu i nagiął mię do natychmiastowego wykonania. W pokoju do pomocy było dwoje służby – mężczyzna i kobieta, lecz nie czułem się dość na siłach, aby się podjąć tak poważnego zadania bez zapewnienia sobie skuteczniejszego współpracownictwa niżli to, którego mogłyby udzielić wspomniane osoby w razie niespodzianego wypadku. Odsunąłem tedy doświadczenie na godzinę ósmą, kiedy przybycie znajomego mi poniekąd Teodora L. – studenta medycyny – miało

mnie ostatecznie wybawić z mego zakłopotania. Pierwotnie postanowiłem wyczekiwać przyjścia lekarzy, lecz skłoniły mnie do natychmiastowego rozpoczęcia doświadczeń – po pierwsze – usilne prośby Waldemara, po wtóre zaś – moje własne przekonanie, iż nie mam chwili do stracenia, gdyż było jasne, że chory kona.

P. L... był tyle uprzejmy, iż zadośćuczynił wyrażonej przeze mnie prośbie notowania wszystkiego, cokolwiek się zdarzy. I właśnie na jego sprawozdaniu, że tak powiem, wzoruję moją opowieść. Pomijając skróty, przytaczam je dosłownie.

Było mniej więcej pięć minut do ósmej, gdy ujrawszy dłoń pacjenta prosiłem go, aby możliwie jasno stwierdził wobec p. L., że na jego – Waldemara – wyraźne życzenie mam go poddać doświadczeniom magnetycznym w takich a takich okolicznościach.

Odpowiedział cicho, lecz wyraźnie:

„Tak, pragnę poddać się doświadczeniom magnetycznym – i natychmiast dorzucił: – Obawiam się nie bez powodu, żeś zwlekał zbyt długo”.

Podczas gdy mówił, rozpocząłem ów rodzaj pasów, których skuteczność dla uśpienia jego osoby była mi już wiadoma.

Pierwszy ruch mej dłoni, przesuniętej po jego czole, wywarł na nim wpływ widoczny, lecz pomimo zużycia całej mojej usilności, nie osiągnąłem żadnego innego, postrzegalnego skutku aż do godziny dziesiątej minut dziesięć, kiedy lekarze D. i F. przybyli zgodnie z umową. W kilku słowach wytłumaczyłem im moje zamiary i, ponieważ nie czynili mi żadnych przeszkód, twierdząc, iż pacjent jest w okresie agonii, bez wahania trwałem nadal w swej czynności, zastępując wszakże pasy poprzeczne – wzdłużnymi i skupiając wszystek mój wzrok w oku konającego.

W tym czasie puls jego stał się niewyczuwalny, zaś oddech utrudniony i nacechowany półminutowymi przerwami.

Stan ów trwał kwadrans niemal bez zmiany, po upływie tego czasu wszakże z piersi konającego wyrwało się jedno prawidłowe, chociaż straszliwie przepastne westchnienie, i chrapliwość oddechu minęła, a raczej chrapanie stało się niesłyszalne. Przerwy nie zmniejszyły się. Kończyny jego ciała były zimne jak lód.

O pięć minut do jedenastej zauważyłem nieomyślne oznaki przemocy magnetycznej. Szkliste migotania oka przybrały mozolny wyraz spojrzeń do wewnątrz, które się zdarzają jeno w wypadkach somnambulizmu i co do których nie można się pomylić. Za pomocą kilku poprzecznych, szybkich pasów zniewoliłem powieki do drgania, które nas zazwyczaj przed snem nawiedza, i przedłużając nieco tę czynność działałem, iż zamknęły się zupełnie. Nie poprzestałem na tym i nadal wykonywałem swe ruchy dosadniej i z bardziej natężonym wysiłkiem woli, aż całkowicie sparaliżowałem członki śpiącego, nadawszy im uprzednio wygodne według wszelkich pozorów położenie. Nogi były całkowicie wyprostowane wzdłuż. Ręce z lekka wyciągnięte, spoczywały na łóżku w umiarkowanej odległości od bioder. Głowa była bardzo nieznacznie wzniesiona.

Gdym tego dokonał, wybiła północ, i zwróciłem się do obecnych z prośbą zbadania stanu, w którym się znajduje Waldemar. Po kilku próbach stwierdzili, iż znajduje się w stanie niezwykle doskonałej katalepsji magnetycznej². Ciekawość obydwu lekarzy wielce urosła. Doktor D. postanowił niezwłocznie całą noc spędzić przy chorym – podczas, gdy doktor F. pożegnał nas, obiecując wrócić skoro świt. P. L. i służba zostali.

Pozostawiliśmy Waldemara w całkowitym spokoju aż do godziny trzeciej z rana – wówczas zbliżyłem się doń i znalazłem go ściśle w tym samym stanie, co w chwili odejścia doktora F. – to znaczy, iż trwał w tej samej pozycji, iż miał puls niewyczuwalny, oddech słaby, zaledwo pochwytany – dostępny jeno probierzowi zbliżonego do ust zwierciadła, oczy zamknięte, a ciało sztywne i zimne jak marmur. Wszakże wygląd ogólny bez wątpienia nie był wyglądem – trupa.

Zbliżając się do Waldemara, zrobiłem coś w rodzaju ja półwysiłku, aby zniewolić jego prawą dłoń do stowarzyszenia się z moją w ruchach, które z lekka kreśliłem ponad nim. Dawniej, pró-

² W procesie snu magnetycznego (hipnozy) wyróżniano trzy stany a) letarg, b) somnambulizm, c) katalepsję. (p. t.)

bując tych doświadczeń z chorym, nie osiągałem nigdy całkowitego skutku i doprawdy nie miałem nadziei, że tym razem uda mi się lepiej, lecz ku memu wielkiemu zdziwieniu, dłoń jego powtarzała bardzo łagodnie, chociaż z lekka jeno kreśląc, wszystkie dłońią moją wskazane kierunki. Postanowiłem narazić go na kilka słów rozmowy.

– Waldemarze – rzekłem – czy śpisz?

Nie odpowiedział, lecz zauważyłem dreszcz w jego wargach i byłem zmuszony powtórzyć moje pytanie po dwakroć i po trzykroć. Za trzecim razem nieznaczne drżenie poruszyło Jego ciałem, powieki uniosły się same przez się, jak gdyby po to tylko, aby odsłonić białe pasmo ocznej gałki – wargi poruszyły się leniwie i w zaledwo pochwytym szepcie uroniły te słowa:

– Tak – śpię teraz. Nie budźcie mnie! Pozwólcie fiiti umrzeć: w tyns stanie!

Dotknąłem ciała – było sztywne jak wprzód. Dłoń prawa, jak przed chwilą, ulegała wskazaniom mojej dłoni. Spytałem znowu śpiącego somnambulicznie:

– Czy zawsze czujesz ból w piersi, Waldemarze? Odpowiedź nastąpiła nie natychmiast, a była jeszcze mniej wyraźna niż pierwsza:

– Ból? – Bynajmniej. – Umieram.

Uważałem w danej chwili za niestosowne – niepokojenie nadal jego osoby, toteż nie przybyły żadne słowa ani czyny – aż do przyjścia doktora F., który uprzedził nieco wschód słońca i doznał zdziwienia bez granic, zastawszy chorego jeszcze przy życiu. Po zbadaniu pulsu śpiącego i zbliżeniu do ust zwierciadła, prosił mię, abym doń przemówił:

– Czy wciąż śpisz, Waldemarze?

Jak wprzód, upłynęło kilka minut bez odpowiedzi i – w przeciągu tego czasu – konający zdawał się skupiać wszystkie swe siły dla pozyskania mowy. Na powtórzone po raz czwarty przeze mnie pytanie odpowiedział bardzo cicho, prawie niesłyszalnie:

– Tak, wciąż – śpię – umieram.

Było to wnioskiem, a raczej życzeniem lekarzy, aby Waldemar pozostał – bez żadnych przeszkód – w obecnym stanie widomego spokoju aż do chwili, kiedy śmierć przyjdzie, a przyjść miała – według jednogłośnego zdania – w przeciągu minut pięciu. Postanowiłem wszakże raz jeszcze doń przemówić i powtórzyłem po prostu pytanie poprzednie.

Podczas gdy mówiał, w twarzy śpiącego odbyło się znaczne przeobrażenie. Oczy, z lekka widoczne spoza przesłaniających je powiek, zapadły się w swych orbitach – skóra nabrała trupich zabarwień przypominających nie tyle pergamin, ile biały papier, i dwa okrągłe suchotnicze wypieki, które dotąd tkwiły uporczywie na środku każdego policzka, zgasły znienacka. Używam tego określenia, ponieważ nagłość ich zaniku narzuciła mej wyobraźni raczej zgaszoną świecę, niżli wszelkie inne porównania. Jednocześnie górna warga skurczyła się, uchodząc wzwyż ponad zęby, które przed chwilą szczelnie przesłaniała, podczas gdy dolna szczeka w pochwytym niemal dla ucha podrygach opadła, pozostawiając usta w zupełnym rozwarciu i odsłaniając w pełni szerniały i obrzmiały jęzor. Przypuszczam, iż wszyscy obecni oswojeni byli z okropnościami śmiertelnego łóża, lecz wygląd Waldemara był w tej chwili tak potworny, tak ponad wszelką wyobraźnię potworny, że wszyscy tłumnie cofnęli się precz – od obrębu łóża.

Czuję oto teraz, żem doprowadził moją opowieść do chwili, kiedy zbuntowany czytelnik odmówi mi wszelkiego zaufania. Mimo to – uważam za swój obowiązek – ciągnąć dalej opowieść.

Zanikła w Waldemarze najsłabsza oznaka życia i, sądząc, że umarł, poleciliśmy go opiece służby, gdy nagle sprężysta fala ruchu zaznaczyła swą obecność w języku. Trwało to zapewne jedną chwilę. Po upływie tego czasu z wyważonych i znieruchomiałych szczęk wypłynął głos – głos taki, że próba określenia tego głosu byłaby szaleństwem. Są wszakże dwa lub trzy przymiotniki, które doń można w przybliżeniu zastosować: oto mogę powiedzieć, iż dźwięk ów był ostry, poszarpany i stłumiony, lecz potworna jego całość wymyka się określeniom, a to z powodu, że nigdy dźwięki podobne nie dotykały swym rykiem ucha ludzkiego. Były wszakże dwa szczegóły, którym, jak myślałem wówczas i myślę dotychczas, można było przypisać cechy charakterystyczne owego tonu i które zdolne były dać wyobrażenie o jego nieziemskiej poczwarności. Po

pierwsze – głos zdawał się dosięgać naszych, a w każdym razie moich uszu tak, jakby wybiegał z niezmiernie odległej przestrzeni lub z podziemnej przepaści. Po wtóre (obawiam się doprawdy nieuniknionej niezrozumiałości mych słów) wywierał na mnie takie wrażenie, jakie na zmysle dotyku wywiera lepka lub galaretowata miazga.

Mówię jednocześnie o dźwięku i o głosie. Otóż chcę zaznaczyć, iż dźwięk posiadał rozcłonkowanie wyraźne, a nawet straszliwie, przerażająco wyraźne. Waldemar zdobył się na mowę, najwidoczniej odpowiadając na zadane mu przeze mnie kilka minut temu pytanie. Czytelnik sobie przypomina, że go zapytałem, czy śpi nieustannie? Odpowiedź teraz brzmiała:

– Tak, nie – spałem, a teraz – teraz jestem martwy.

Nikt z obecnych nie próbował odeprzeć ani nawet przytłumić nieopisanego, pełnego zgrozy przerażenia, które tak nieodparcie wznieciły te nieliczne, a w ten sposób wymówione słowa. Student L. – stracił przytomność. Służba niezwłocznie pierzchła z pokoju i nic by jej nie zmusiło do powrotu. Co się zaś tyczy moich własnych wrażeń – tych nie próbuję nawet udostępnić zrozumieniu czytelnika. Godzinę niemal krzaliśmy się w milczeniu (nikt słowa nie uрониł) dokoła p. L., aby go ocucić. Gdy odzyskał zmysły, przystąpiliśmy ponownie do badań nad stanem Waldemara.

Stan ów pod każdym względem trwał w tej samej postaci, w jakiej opisałem go ostatnio, z tą jeno różnicą, że zwierciadło nie dawało już żadnej oznaki oddechu. Próba upustu krwi z ręki spełzła na niczym. Muszę też zaznaczyć iż wspomniana część ciała odmówiła posłuszeństwa mej woli. Na próżno próbowałem zaprawić ją do powtarzania ruchów mej dłoni.

Jedyna, rzeczywista oznaka magnetycznego wpływu ujawniała się obecnie w ruchliwym trzepotaniu się języka. Ilekroć zwracałem się do Waldemara z pytaniem, zdawało się, że czyni wysiłek w celu odpowiedzi, lecz że akt jego woli nie jest dość trwały. Na pytania, zadawane nie przeze mnie, jeno przez inne osoby, był bezwzględnie nieczuły, chociaż starałem się nawiązać styczność magnetyczną pomiędzy nim a każdym z obecnych. Przypuszczam, że podałem teraz wszystkie wiadomości, niezbędne dla zrozumienia w danym okresie stanu śpiącego snem somnambulicznym. Pozyskaliśmy innych pielęgniarzy i o godzinie dziesiątej opuściłem mieszkanie w towarzystwie obydwu doktorów oraz p. L.

W porze popołudniowej wszyscy ponownie odwiedziliśmy pacjenta. Stan jego był bezwzględnie jednaki. Wszczęliśmy spór na temat pomyślności i możliwości obudzenia go ze snu, lecz wkrótce przyszliśmy do zgodnego wniosku, iż w ten sposób nią pozyskamy żadnych pożądaných skutków.

Było jasne, iż przemoc magnetyczna powściągnęła działanie śmierci lub tego, o czym zazwyczaj słowo śmierć napomyka. Stało się dla nas wszystkowiednością, iż obudzenie Waldemara byłoby po prostu stwierdzeniem jego zgonu lub przyśpieszeniem śmiertelnego rozkładu.

Od owej chwili aż do końca zeszłego tygodnia – mniej więcej siedmiomiesięczny odstęp czasu – zbieraliśmy się codziennie w mieszkaniu Waldemara w towarzystwie innych jeszcze doktorów i znajomych. W przeciągu tego czasu śpiący trwał ściśle w jednakim, opisanym już przeze mnie stanie. Dozór pielęgniarzy trwał nieustannie.

W zeszły piątek postanowiliśmy ostatecznie poddać go ocknieniu lub przynajmniej próbie ocknienia i właśnie opłakane zapewne skutki tej ostatniej próby dały powód do tylu sporów wśród kół prywatnych oraz do tylu mylnych pogłosek, w których nie mogę się nie dopatrzeć wyniku niczym nie usprawiedliwionej łatwowierności tłumu.

Dla pozbawienia Waldemara katalepsji magnetycznej uciekłem się do zwykłych pasów. Przez czas pewien nie było żadnych skutków. Jedyną oznaką powrotu do życia był częściowy opad tęczówki. Zauważyliśmy jako zjawisko wielce odmienne, iż owej zniżce tęczówek towarzyszyły bardzo obfite wydzieliny żółtawej wilgoci (spod powiek) o zapachu ostrym i niezmiernie przykrym.